Poczta opłacona zgóry. Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POSWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organr szerszych warstw ewangelików volskich, przy udziale ks. ks. profesorów: Ed. Burschego J. Szerudy, K. Se iniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. prefekta Gloeha — z Warszawy, ks. G. Manitiusa z Poznania oraz iczłonków Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: p. p. mec. H. Eberhardta mec., A. Burschego prof. gim. m. M. Reia, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta. Pod naczelną redakcją l vastora Zboru. Warszawskiego, ks. radcy A. Lotha.

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową: 3 złote kwartalnie. Pojedyńczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI o o o o o o o o o WARSZAWA, ulica Kredytowa Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje: w Warszawie księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10. w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 165. i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Prutka 27.

Wychodzi raz na tydzień o o o w niedzielę o o o
Ogłoszenia: Kolumna wiera 4 szpalty ogłoszeń. ... wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy, w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w pocztowej kasie oszczędności Nr. 1508.

Rok VII. WARSZAWA, DNIA 26 GRUDNIA 1926 ROKU. **Nr. 52.**

Narodzenie Pańskie.

A urodzisz Syna, i nazwiesz imię jego Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów ich.
A to się wszystko stało, aby się wypełniło, co powiedziano od Pana przez proroka mówiącego:
Oto, panna będzie brzemienna i porodzi syna, a nazwią imię jego Emanuel, co się wykłada: Bóg z nami.
Ewang. Mateusza, rozdz. 1. w. 21-23.

Twierdzą, że aniołowie, zniechęceni widokiem nieprawości i okropności, dziejących się na ziemi, opuścili ten padół smętny, a unieśli się w przestworza ku wyżynom, zalanym potokami światła niebieskiego. Jednak widok ziemi, wijącej się w nieszczęściach, napawa ich litością, i raz do roku zlatują na ziemię nieszczęsną, aby wzmocnić wiarę, odnowić nadzieję i wzbudzić chęć do czynu, miłością przepojonego. Wtedy niewidzialnemi niewodami zgarniają ludzkość i stawiają ją przed żłobkiem w Betleem, wskazując na cud miłości Bożej — dzieciątko z Marji zrodzone.

Dlatego Noc Świąteczna jest otoczona urokiem, któremu nie dorówna żaden dzień, ani żadna inna noc, spływa bowiem ze światłem gwiazdy Betleemskiej spokój niezmącony i wzniosłość nadziemska na dusze umęczone.

Poddajemy się chętnie czarowi tej Nocy, kiedy się harmonijnie łączą czyste wspomnienia lat dziecinnych, odczucie rzeczywistości pozaziemskiej i tęsknota za nowem, życiem Bożem: a roziskrzone radością świąteczną oczęta dziatek budzą te czasami zamarłe w duszach ludzkich echa.

Czar dzieciństwa, urok poezji, tęsknota za przyszłością lepszą, czystą zespalają się w radosnem uczuciu.

Narodził wam się Zbawiciel.

Czyż istotnie jedynie poezja tego zwiastowania przemawia do człowieka, poznanego przez nią, obecnego życia gorączkowego? Piękne — niestety — tylko złudzenie?

Biednaż byłaby ludzkość, gdyby fanatyzm rzeczywistości pozbawił ją czaru tej nocy cudnej; stokroć smutniejszy byłby jej los po skreśleniu z jej dziejów i, świadomości wieści radosnej: Narodził wam się Zbawiciel.

Wsłuchajmy się w głosy, dolatujące obecnie nas z zachodu i wschodu, zechciejmy się wczuć w te hasła bojowe, rzucane tłumowi zgłodniałemu na przynętę, spójrzmy bez lęku i przesądów w oczy prawdzie czasów obecnych, — prawie wszędzie natrafiamy na jedną tęsknotę, jedno pragnienie — na pożądanie zbawienia.

Wprawdzie różnie jest pojmowana istota zbawienia i jego cel, lecz na tem polega znaczenie Świąt Narodzenia Pańskiego, że w myśl, słowo, uczucie zbawienia wlewają treść, której na imię Jezus.

On znał potęgę, niszczącą wszelkie życie w Bogu poczęte, a przykuwającą człowieka niewolnika do jego ciężkiej doli; pomimo wysiłków najlepszych przedstawicieli ludzkości potęga ta nie słabła, lecz wzmagała się z pokolenia w pokolenie, grożąc ludzkości zagładą ostateczną.

Bóg zlitował się nad niedolą dusz i zesłał Syna swego, by został Jezusem — Zbawicielem. Od demonicznej mocy grzechu miał On zbawić ludzkość swem życiem czystem, ofiarą bezprzykładną i śmiercią męczeńską, by spragniony wyzwolenia człowiek mógł powiedzieć: Emanuel, Bóg z nami.

Zwycięsko wkracza radość świąteczna do domostw z dźwięków dzwonów, zwiastujących w noc zimową przybycie Pana, ze światłem żarzącego się drzewka świątecznego, ze śpiewem dziatwy uszczęśliwionej, niechaj wypełni, tęskniące za nowem życiem serce, nadzieja: w T o b i e s i ę c h c e n a r o d z i ć Z b a w i c i e l!

Karol Serini:

WSZYSTKIM SZANOWNYM I MIŁYM CZYTELNIKOM „GŁOSU EWANGELICKIEGO" ŻYCZYMY" BŁOGOSŁAWIONYCH ŚWIĄT NARODZENIA PAŃSKIEGO

Redakcja i Administracja.

* * *

„Dziś Wam się narodził Zbawiciel“,

Temi słowy pozdrawiają Aniołowie Pasterzy, — temi słowy zwracamy się z pozdrowieniem do Was, Czytelnicy mili.

Poza nami leży okres całego roku, roku ciężkich zmagań, wysiłków, dążeń, nadziei—ale i rozczarowań... Poza nami na kartach dziejów naszega życia wypisane zostały wypadki, których już nikt z nas odwrócić nie zdolen.

Dzień dzisiejszy — niech będzie dla nas wszystkich dniem zapomnienia, zapomnienia minionych smutków i zawodów, a jednocześnie dniem narodzin nowego zapału, nowych poczynań, nowych dążeń i nowych nadziei.

— —

...Dziś Wam się narodził Zbawiciel...

W tym dniu Jego narodzin stawiamy gorejące drzewko o wiecznej zieloności — które ma nam być symbolem naszej miłości płomiennej—a wiecznie żywej—ku Bogu i bliźniemu.—A słowa pozdrowienia anielskiego mają nam dać wiarę w odrodzenie, w odrodzenie ludzkości, świata, a nadewszystko nas samych.

Obyśmy zrozumieli te słowa należycie. Obyśmy wszyscy do serc je przyjęli.

„Dziś wam się narodził Zbawiciel“.

P. HULKA-LASKOWSKI.

WILJA STEFANA SKOCZKA.

Przedewszystkiem trzeba powiedzieć, że Skoczek to nie nazwisko, ale przezwisko, dostał je w pamiętnym 1920 roku w szpitalu, od swoich kolegów, i jakoś już poszło za nim niby przydomek szlacheckiego indygenatu.

Było to tak. Stefan Skoczek, właściwie Braun, mieszkał sobie ze swoją matką w Warszawie i postanowił za wszelką cenę zostać lekarzem. Nie dla karjery bynajmniej, ale przez zaciętość względem gruźlicy. Jako młody chłopiec patrzył, jak jego ojciec umierał, trawiony tą straszną chorobą, i nie wiedzieć skąd zrodziło się w nim przekonanie, że jakby dobrze ruszyć konceptem, to przecie i na tę chorobę znalеśćby się musiał jakiś sposób. Z tego, co pozostało po ojcu, a trochę przy pomocy matki, przebrnął przez pierwsze cztery klasy gimnazjum i aż się dziwił, że innym jakoś nauka nie idzie. Jemu szła świetnie: nietylko, że wlot przyswajał sobie wszystko, co było potrzebne do zadowolenia wymagających profesorów, ale znajdował jeszcze dość czasu, aby nauczać innych. To nauczanie innych dawało mu skromne, ale stałe zarobki i usposobiało go w stosunku do najdalszej nawet przyszłości jak najlepiej. Zaczynał wierzyć, że nie kto inny, jeno on właśnie wynajdzie środek leczniczy przeciw gruźlicy. Trzeba się tylko sprytnie zabrać do rzeczy, a wszystko można zrobić. Takie nadzieje towarzyszyły mu przez piątą i szóstą klasę.

Gdy w r. 1920 był w klasie siódmej, zdarzyła mu się właśnie ta rzecz, dla której przezwany został Skoczkiem. Miał wtedy lat osiemnaście i pewnego dnia rzekł do matki:

— Teraz, mamusiu, pójdę na parę tygodni powojować.

— Ty? Powojować? Gdzież to pójdziesz wojować?—i zaniepokoiła się mocno, bo Stefan nigdy nic na wiatr nie mówił

— Jakto gdzie? Gdzie wszyscy. Z ósmej poszło już dużo kolegów. Teraz na mnie pora. Ale to tam takie głupstwo —uspakajał matkę.— zbijemy bolszewików i wrócimy niedługo do domu.

Matka próbowała mu przekładać, że jest wdową, że nie ma nikogo na świecie, ale Stefan odpowiedział:

— Ja wiem, moja droga, ale na to rady niema. Ja muszę iść, bo.. No, jednem słowem muszę, bo nigdy bym sobie nie darował, że patrzyłem, jak koledzy szli, a ja...

— Więc musisz..?

— Tak — odpowiedział krótko i zaraz dodał: — Tylko smucić się tu niema czem. To jest takie zdrowe ćwiczenie sportowe, po którem nauka pójdzie jak się patrzy. Zawsze się martwiłaś, że nie mam świeżego powietrza, a wojna, widzisz, na świeżem powietrzu.

Niedługo tedy Stefan Braun poszedł na świeże powietrze. Zrazu szło mu nadzwyczajnie dobrze i znowuż wydawało mu się, że wszystkie narzekania na wojnę są najzwyczajniejszą blagą nudnych ludzi. Wysłano go razem z innymi do małego miasteczka, gdzie koszary zrobiono z napół zniszczonej sali fabrycznej, i codzień ćwiczono go w miłem i bardzo pstrem towarzystwie innych ochotników, wbijając mu w głowę, która noga jest lewa, a która prawa, jak trzeba stać na „baczność“, a jak na „spocznij“, jak maszerować, jak stawać, jak padać i podnosić się... Bawiło go to bardzo. Potem dostał karabin i uczono go nowych sztuk onym karabinem. Tak upłynęło parę tygodni i Stefan Braun pisywał do matki listy pełne humoru i swawoli, że cała wojna to jedna wielka uciecha i nic więcej. „Wyżera się człek na rządowym wikcie, opala się na słońcu i wałkonieje. Nawet nie wiem, jak przywyknę znowu do porządnego cywilnego życia i jak ja się będę uczył..., — pisał do matki w szczerym zamiarze rozpraszania jej trosk. Oczekiwał, że gdy pułk jego ruszy na front, to tam będą nie przelewki i wtedy już może nie zdobędzie się na taki list niefrasobliwy.

Ale i wówczas, gdy pułk jego wyruszył na front, nie zmieniło się nic tak raptownie, jak się tego spodziewał, a nawet w sekrecie przed samym sobą coś niecoś się obawiał. Droga do frontu była nie taka bardzo daleka i można było dojechać do niego przez jeden dzionek koleją, ale się jakoś składało, że po przejechaniu kilku stacji, wyładowano ich i kazano im biwakować całkiem już po wojennemu w szczerem polu. Jedni powiadali, że to dla przyzwyczajenia się do rzeczy cokolwiek lepszych, inni twierdzili ze smutkiem, że tyle się nagarnęło ludu do wojska, że wojny na wszystkich nie starczy i trzeba czekać w ogonku, żeby swoją cząstkę liznąć. Ale po paru dniach zrobiła się piekielna awantura, na łeb na szyję kazano się zwijać i corychlej poprowadzono oddział na dworzec. Wszyscy byli przekonani, że w najbliższej chwili spotkają się oko woko z nieprzyjacielem. Ale gdy stanęli na dworcu kolejowym, zmęczeni, zziajani, okazało się że trzeba czekać i że niema znowu nic takiego pilnego. Mądry jeden kapral, jako człowiek wiedzący, pouczał kogo należy, że to są takie sobie kawały, bo żadna wojna bez kawału obyć się nie może.

Tak było coś przez dwa tygodnie, zanim wreszcie baon

pułku, w którym służył Stefan, znalazł się na drodze przez las wysoki i gęsty. Oficerowie kazali iść cicho i zabronili śpiewania, bez którego cniło się żołnierzom. Gdy pod wieczór mocno już zmęczeni wyszli za las, wyznaczono im kwatery w ludnej wsi, jak się dało, nie pozwolono palić ogni i na wszystkie strony porozstawiano wartowników. Nastrój był nerwowy i chociaż noc była cicha, niejednemu się zdawało, że słyszy oddalone strzały, czy nawet tętent konnicy. Ale po paru godzinach wszystko się uspokoiło i prócz wartowników wszyscy spali.

W pewnej chwili, gdy na wschodniem niebie znaczył się świt, Stefan dostał mocną sójkę w bok od kaprala. Był to taki cichy alarm, jakiego Stefan jeszcze nie widział. Gdy wybiegł z izby, w ogrodzie wachmistrz udzielał gromadzie żołnierzy rozkazy takim stanowczym szeptem, który działał potężniej, niż najgłośniejszy krzyk.

Chyłkiem, bez hałasu, bez szmeru, wydostali się między krzaki i zapadli w rowie przydrożnym. Stefan był trochę zafrasowany, bo nie wiedział, kto tu właśnie będzie dowodził, skąd przyjdzie nieprzyjaciel, jak i kiedy się na niego uderzy. Uspokoił go głos wachmistrza. Gdy chłopcy gorączkowali się, dostrzegając w przedrannem półświetle jakieś pełzające cienie i gdy ten i ów szczęknął karabinem, wachmistrz syknął i kazał czekać komendy. „To nasze warty ściągają" — pouczał żołnierzy.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy w kierunku spojrzenia wachmistrza. Dwoiło się i troiło w szarym brzasku i każdy widział co tylko żywnie chciał. Wreszcie ten i ów zaczął mniemać, że chodzi o jeden z tych częstych na wojnie alarmów dla wprawy i dla kawału. Niejeden też nie wierzył już swoim oczom, gdy na dalekiej drodze zamajaczył jakiś cień, i brał go za przywidzenie.

— Idzie konnica—mówił szeptem wachmistrz,— nasi zachodzą jej z obu boków, a my tu sobie tak dla parady na brzuszku leżymy, żeby im ją w odpowiedniej chwili napędzić. Bez komendy nie strzelać, bo kryminał!

Stefanowi serce zabiło żywiej od nieoczekiwanej radości, czy nawet tkliwości. Ach, więc wreszcie spotka się z tym nieprzyjacielem, którego wszyscy tak wyczekują! Dokoła było tak cicho, że już całkiem wyraźnie słychać było tętent koni na szosie, w potężniejącym świcie widać było całkiem wyraźnie duży oddział konnicy. Wtem stało się coś nieoczekiwanego. Z prawej czy lewej strony nadciągającego oddziału huknęły strzały, konnica momentalnie rzuciła się z drogi na pole i ruszyła naprzełaj, aby ominąć — zasadzkę i dostać się na drogę z innej strony.

— Teraz na nas kolej, chłopcy! — zawołał wachmistrz. — Baczność! Celować dobrze!

Po kilku salwach zbita masa konnicy rozproszyła się na wszystkie strony, zewsząd witana celnym ogniem. Wachmistrz kazał zaprzestać ognia, który wzmógł się znacznie na skrzydłach wysuniętych. Trwało to wszystko z pół godziny i gdy się rozwidniło, żołnierze wracający do wsi, przyprowadzili kilkunastu jeźdźców i znacznie więcej koni. To pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem utwierdziło Stefana, że wojna to jedna wielka uciecha i nic więcej. Napisał do matki, że już wojnę poznał zbliska i że jest ona daleko mniej straszna, niż ją malują.

Że się jednak mylił, o tem miał się przekonać niebawem. W parę tygodni później znalazł się z niewielkim oddziałem przy moście, którego mieli bronić. Most był wysoko nad powierzchnią rzeki i ładnie było spoglądać z niego w dolinę. Wszyscy też cieszyli oczy ładnym widokiem i chwalili sobie służbę wojskową. Z pobliskich borów kobiety wiejskie chodziły z koszykami pełnemi grzybów, a na polach pracowali oracze. W pogodnem słońcu jesiennem wszystko było widać bardzo wyraziście. Ale już po dwóch dniach zrobiła się dokoła wielka cisza, a od dowództwa przyszło ostrzeżenie, że nieprzyjaciel jest blisko. Cóż w tem znowu wielkiego? Bywał przecie nieraz blisko i nic.., Ledwo to Stefan pomyślał, gdy wydało mu się, że najprzód jakaś wielka siła zwaliła się na niego ciężarem, a potem zdmuchnęła go z mostu. Zanim stracił przytomność, starczyło mu jej na zdziwienie, że stało się coś takiego śmiesznego. Przez krótką chwilę wiedział, że z mostu pada do rzeki, potem wszystko zasnuły gęste mroki nieświadomości.

— Ciężka kontuzja — powiedział lekarz w lazarecie, gdy się Stefan ocknął. — Rany niema, kosteczki całe, będzie dobrze.

Posłano go na kurację do Warszawy, elektryzowano, masowano, karmiono, pojono, ale zdrowie wracało powoli i gdy wreszcie Stefan z wielkim wysiłkiem wygramolił się z łóżka, aby stanąć na własnych nogach i zrobić pierwszy krok w nowe życie, wszyscy żołnierze, ilu ich było na sali ozdrowieńców, ryknęli zgodnym i rzetelnym śmiechem. Oto Stefan szedł wprawdzie, ale z takiemi podrygami, jakby przedrzeźniał pijanego tancerza. Wszystkie wysiłki woli nie zdały się na nic. Wtedy nazwano go Skoczkiem.

— Bieda z tobą, mój drogi chłopcze, — mówił do niego lekarz — bo tu trzeba trochę czasu, albo jakiego wstrząsu, abyś wydobrzał zupełnie. — I tak się przyzwyczaił do przezwiska, że nazywał go Skoczkiem, jak wszyscy.

Zakazano mu stanowczo uczyć się narazie i poradzono mieszkanie na wsi. Z tą radą i ze swojemi pociesznemi podrygami dostał się jakoś na czwarte piętro koszarowego domu na przedmieściu robotniczem do pokoiku ubogiego swojej matki. Gdy wynędzniały wyglądał oknem, widział zawsze to samo: domy robotnicze i kominy fabryczne, ale przyszłości nie widział. Najbardziej martwiła go, że matka ukradkiem popłakiwała.

— Nie mówiłem ci, matuś — mawiał w takich chwilach — że wojna to kawał, — zrobiła ze mnie skoczka, podczas gdy ja się kierowałem na doktora. Ale to nic, to musi minąć, a wtedy nietylko gruźlicę będę brał za łeb, ale i takie zabawne choróbki.

Przezimował w domu, a ku wiośnie zdrowie trochę mu się poprawiło. Nogi trzęsły się pod nim jeszcze, ale miewał chwile dość dobre. Ponieważ trzeba było zarabiać a nie być matce na oczach, więc zaczął przez znajomych szukać jakiego zajęcia. Skutek tych starań był taki, że z najlepszemi poleceniami jechał późną wiosną do miasta Przylachowa, położonego niedaleko od Warszawy, ale odciętego od niej gruntownie brakiem komunikacji. Od Warszawy trzeba było jechać dwie godziny koleją, a potem godzinę końmi z powrotem, aby się dostać do sławetnego grodu, w którym Stefan Braun, alias Skoczek, miał być urzędnikiem magistrackim i prawą ręką burmistrza.

Miasteczko było malutkie i nudniutkie. Kościół, apteka, magistrat, fabryczka zatrudniająca kilkudziesięciu ludzi, rzeźnia bardzo pierwotna i cztery tysiące mieszkańców, gnieżdżących się dokoła rynku w domkach zgoła paskudnych i w chatach, leżących w szczerem polu tuż za miasteczkiem — oto wszystko. Było tam jak na szczerej wsi. Roboty było w magistracie niewiele, a prawą ręką burmistrza było być tem łatwiej, że burmistrz ciągle jeździł w jakichś swoich interesach i do magistratu zaglądał rzadko kiedy. Być może, iż dla potwornych nudów, jakie panowały w tej zaprzepaszczonej dziurze, nikt nie chciał przy panu burmistrzu pełnić obowiązków „naczelnika kancelarji", jak burmistrz nazywał Stefana.

Osobliwością Przylachowa było, że to miasto nie chciało mieć drogi bezpośrednio prowadzącej do Warszawy. Istniała tam wzruszająca legenda, że jakaś świętość lokalna w osiemnastym wieku przepowiedziała miastu zagładę, jeśli połączy się drogą z warszawską Sodomą, gdzie bezbożne masony rej wodzą. I tak dość zgorszenia trafia do Przylachowa — wywodził ów mąż świątobliwy. Podczas wojny pochwalali sobie Przylachowianie, że dla braku drogi nie trafili do nich Niemcy; ale uciecha była przedwczesna. Na wiosnę roku 1918, przybył do miasteczka oddziałek wojska z komendantem, który zakwaterował się, zagospodarował, a potem spędził ludzi, kazał zwozić kamienie i budować drogę prościuteńko do Warszawy. Przylachowian ogarnęła trwoga, a co mężniejsi przepowiadali Niemcom, po cichu, oczywiście, straszną karę boską. Budowa drogi utknęła

na czwartym kilometrze, komendant niemiecki ze swoim oddziałkiem poszedł sobie precz, a na jesieni dotarła i do Przylachowa wieść, że kara boska Niemców spotkała, jak to Przylachowianie zapowiedzieli. Po wojnie jakieś władze domagały się, aby droga była budowaną dalej i jednym z obowiązków Stefana było wypisywanie list płac dla robotników zajętych przy tej drodze. Wydawało mu się nieraz, że droga ta musi prowadzić chyba przez jakieś niesłychane moczary, czy nad przepaściami, bo ciągle chodziło o te same kilometry i praca jakoś nie ruszała z miejsca. Wypisywał tedy rachunki, posyłał po pieniądze i obiecywał sobie, że jak tylko okrzepną mu nogi, to pójdzie popatrzeć na tę sławetną drogę. Niemało był zdziwiony, gdy raz i drugi wychodząc za miasto, ani razu nie ujrzał robotników, a to, co było zrobione, rozsypywało się powoli.

— Gdzież tu się buduje droga? — spytał pewnego razu jakiegoś jegomościa.

— A z przeproszeniem nigdzie, bo byśmy nie dali — odpowiedział mu rezolutnie.

— Jakto, więc wcale robotnicy na robotę nie wychodzą?

— A gdzieżby mieli wychodzić? Swój nie pójdzie, a czudzegobyśmy przepędzili.

— No, a Niemcy? — pytał Stefan.

— Po swojemu chcieli zrobić, to ich Pan Bóg skarał.

Stefana przeraziła przedewszystkiem myśl, że wypisywał jakieś listy płac, niewątpliwie fikcyjne. Powiedział burmistrzowi, co się o drodze dowiedział, co sobie o niej mówią ludzie. Burmistrz popatrzył na niego z podełba i warknął:

— Droga nie pańskie dzieło. Pan jesteś najęty do kancelarji.

Przez jakiś czas było z drogą cicho, aż dopiero w przeddzień Bożego Narodzenia, burmistrz wpadł do kancelarji, jak człowiek, który nie ma dużo czasu i wyprasza sobie wszelkie możliwe objekcje. Rzucił niedbale kartę papieru na stół przed Stefanem i rzekł ostro, dobitnie:

— Wypisze pan listę płacy, pośle pan posterunkowego Wicherka do kasy skarbowej. Ja wyjeżdżam. Dowidzenia!

Rzucił się ku drzwiom, aby Stefan nie miał czasu na odpowiedź. Stefan zawahał się przez chwilę. Oprzeć się oszustwu, to znaczy stracić posadę i zarobek, którym dzielił się z matką. Ale wahanie trwało krótko.

— Ja tego nie zrobię, panie burmistrzu — odpowiedział spokojnie.

— Niech pan się namyśli, bo tego za pana nikt robić nie będzie — odparł burmistrz i wyszedł.

— Pieniądze?! — zawołał, wiedząc, że ich niema.

— Nie posyłałem — odpowiedział Stefan.

— No to się pan śpiesz, póki kasa otwarta w powiecie.

— Ja tego nie zrobię — uparł się Stefan.

— Dlaczego? — pytał burmistrz, hamując z trudem gniew.

— Pan wie dlaczego — odpowiedział Stefan.

Burmistrz zacisnął pięści, podszedł parę kroków do Stefana, a potem wrzasnął na całe gardło:

— Won! W tej chwili won i żeby mi tu śladu pańskiego nie zostało! Patrzajcie go!

W Stefana jakby piorun uderzył; przez chwilę stał ogłuszony. Chciał burmistrzowi odpowiedzieć ostrą zniewagą, ale napełniło go uczucie takiego głębokiego wstrętu dla tego brutalnego oszusta, że bez słowa opuścił kancelarję, a gdy wszedł do swojego pokoiku, spostrzegł ze zdumieniem, że szedł krokiem prężnym i żwawym, jak niegdyś.

— Symulant, inwalidę udawał! — słyszał za sobą chychot burmistrza.

Do pakowania miał niewiele i po południu z małym tobołkiem stał na rynku, patrząc czy nie znajdzie jakiej okazji do zabrania się na stację kolejową. Ale okazji nie było. Ruszył tedy piechotą. Było około drugiej, więc na czwartą będzie na stacji, o piątej jest pociąg i najdalej o pół do ósmej będzie niespodziewanie u matki.

Padał rzadki śnieg rozdmuchiwany wiatrem po polu, lekki mrozik czynił powietrze świeżem i przejrzystem. Nad wszystkiem panowała niepodzielnie radość, że za parę godzin zobaczy się z matką. Radość wzmagała się, gdy zbliżał się do stacji, a gdy siedział w wagonie, wstawał co chwila, aby się przekonać, czy mu nogi nie drżą. Nie drżały. W kieszeni miał dwadzieścia złotych i rozmyślał nad tem, coby tak matce kupić na gwiazdkę. Po siódmej był w Warszawie.

Pierwsze spojrzenie rzuciła matka na nogi syna, gdy ten wypuścił ją z objęć. Przeszedł po pokoju prężnym żołnierskim krokiem.

— Ach, mój Boże! wołała zachwycona matka. — To może ty, Stefciu, już więcej do tego Przylachowa nie pojedziesz!

— Może i nie pojadę, matuś! — odpowiedział, tuląc matkę do serca, szczęśliwy i zadowolony, że został wygnany przez pana burmistrza i że ostre wstrząśnienie przywróciło siły jego chorym nogom. Przypomniała mu się formuła uzdrawiająca królów francuskich, gdy dotykając chorych, mówili: „Król cię dotyka, Bóg cię uzdrawia".

Gdy nazajutrz przyszedł do kancelarji, w oczach grały mu złe błyski.

Historja wszelkiego zdrowego ustroju.

Po zjeździe swoim w Warszawie biskupi rzymsko-katoliccy wydali komunikat, w którym czytelnik ze zdumieniem spotyka przysłowiowego kota odwróconego ogonem. Jest w tym komunikacie kilka zdań, które trzeba przytoczyć dosłownie, aby nie uronić nic z ich swoistego zapaszku. A więc: „Dzięki wzrastającemu zanikowi praworządności, rośnie komunizm i zagraża przyszłości Polski, kiedy równocześnie na ostoję wszelkiego zdrowego ustroju, Kościół katolicki, walą się gromy". Dalej jest narzekanie, że prasa antykatolicka wzrasta i że jej pisarze odnoszą się krytycznie w stosunku na przykład do Meksyku. A więc chodzi o to, aby prasa chwaliła zawsze i wszędzie Kościół rzymski, czy to w Polsce, czy w Meksyku. Dostrzegł też episkopat rzymski, że w teatrze grywane bywają nie same tylko cnotliwe rzeczy. Najlepszym punktem komunikatu jest ten, który poświęcono sekciarstwu polskiemu. Brzmi on tak: **Sekciarstwo doznaje opieki ze strony pewnych czynników i depce istniejące prawa, a nieraz bezkarnie chwyta się publicznego gwałtu".** (Podkreślenie nasze).

„Głos Prawdy", odpowiadając na te oskarżenia pewnych czynników o sprzyjanie sekciarstwu — powiedział, że jest to „jaskrawa nieprawda". Użył wyrażenia delikatnego i łagodnego, bo można to było nazwać daleko ostrzej. Dobrze zrobiłby ktoś, kto posiada dostęp do odpowiednich źródeł, aby zebrał trochę materjału i wykazał komu należy, ile to razy w wolnej Polsce pałkarze bili bezkarnie sekciarzy, ile razy byli rozpędzani przez policję i skazywani przez sądy za to, że modlili się do Boga, jak im nakazywało sumienie i jak im pozwalała na to konstytucja. Byłoby dobrze przypomnieć, że sierociniec metodystów w Odolanowie, przygarniający kilkadziesiąt dzieci, został rozpędzony przez motłoch podszczuty i prowadzony przez księdza rzymskiego. Nie zawadziłoby odświeżyć zbyt krótkiej pamięci dygnitarzy rzymskich bezprzykładną martyrologję Kościoła Narodowego łącznie z Jastkowicami i pobiciem obu biskupów w stolicy państwa, i to przez śmietankę młodzieży, przez akademików, a za poduszczeniem księdza, który jest niewątpliwie dobrym katolikiem, ale nie wie, co to jest być chrześcijaninem. Do tego wszystkie-

go trzebaby dodać jeszcze tragedje unieważnionych małżeństw ewangelickich, aby stało się jasnem, jak obywatel polski traktowany jest przez dygnitarzy rzymskich pośrednio lub bezpośrednio. I oto dygnitarze ci mają jakąś smutną odwagę mówić, że sekciarze cieszą się opieką pewnych czynników i dopuszczają się gwałtów publicznych. Robi się wstyd, gdy się czyta takie „jaskrawe nieprawdy", pochodzące ze źródła, które nominalnie krzewić ma prawdę.

Ale sprawa jest ciekawa i z wielu innych względów. W enuncjacji biskupów rzymskich jest nietylko merytorycznie, lecz i formalnie „jaskrawa nieprawda". Jeśli nazywają oni Kościół rzymski ostoją wszystkiego zdrowego ustroju, to powinni dodać, że **zdrowego dla niego, dla Kościoła.** Oczywiście, że szczerze wierzący chrześcijanin, czy to katolik, czy ewangelik, czy prawosławny, nie będzie organizował rewolucji od zewnątrz, bo jeśli jest chrześcijaninem prawdziwym, to przeszedł rewolucję wewnętrzną, odrodzenie duchowe, które wyklucza i zbędnemi czyni wszelkie inne rewolucje. Takich chrześcijan znaleźlibyśmy najwięcej w ewangelicyzmie. Historja poucza niedwuznacznie, że rewolucje są stałem zjawiskiem życia społeczeństw katolickich, podczas gdy społeczeństwa ewangelickie rewolucji prawie że nie znają.

Gdyby prawdą było, że Kościół rzymski jest ostoją „wszelkiego zdrowego ustroju", to musielibyśmy oczekiwać, że szczególniej w państwie kościelnem, pod okiem samego papieża, nie było i nie mogło być rewolucji i przewrotów. Trzeba by napisać gruby tom, aby wykazać, że w wiekach średnich, to jest w czasach, gdy władza Kościoła rzymskiego była u szczytu potęgi, całe Włochy, nie wyłączając państwa kościelnego, były w bezustannym zamęcie: wojny domowe, przewroty, mordy polityczne były tam na porządku dziennym. Jak boleśnie i zawstydzająco jest wspominać o tym okresie Kościoła, gdy w Rzymie panowały kobiety tak wyuzdane i wszeteczne, jak Teodory i Marozie, co trwało od roku 894 do roku 963. Papieże zasiadający w owym czasie na tronie, to byli kochankowie lub wybrańcy tych kobiet.

Niewiele później Arnold z Brescji zaprowadza w Rzymie republikę (1150) i papież musi uciekać przed własnymi poddanymi, dopóki cesarz niemiecki nie schwyta i nie wyda Arnolda papieżowi na stracenie. I znowuż po niejakim czasie papieże stają się igraszką w ręku króla francuskiego i muszą mieszkać w Awinjonie oraz stosować się do woli Francji. Kiedy okres tej „niewoli babilońskiej" kończy się w roku 1378, powstaje wielka schizma zachodnia, bo istnieje jednocześnie po dwóch i po trzech papieży. W roku 1347 Cola di Rienzi zaprowadza w Rzymie republikę demokratyczną i znowuż papiestwo odzyskuje swoje panowanie dzięki czynom orężnym, a nie wpływom duchownym i chrześcijańskim.

Całe dzieje Kościoła to bezustanne domaganie się reform i rzeczywiste reformy, wychodzące z kół wiernych chrześcijan, ale gnębione przez hierarchów. Ubodzy z Lijonu, Franciszkanie, Wikliff, Hus, nie mówiąc o Benedykcie z Nursji i Klunjatach, to bezustanne domaganie się religji Chrystusowej nie w teorji, ale w rzeczywistości. Ze wszystkimi tymi zwolennikami czystości życia chrześcijańskiego załatwiał się Kościół rzymski w sposób brutalny, prymitywny i bezskuteczny: więzieniami i stosami. To państwo, którego mienił się być ostoją, budowało na jego skinienie więzienia i piekło heretyków na wolnym ogniu. Jeszcze w roku 1895 jeden z prałatów rzymskich napisał w rzymskim Analecta Ecclesiastica pochwałę stosów i pamięci kata Torkwemady. Ale dzisiaj trzeba by spalić na stosie połowę świata, a to przechodzi siły dobrej w tym względzie woli dzisiejszych Torkwemadów.

W ciągu wieku XIX ostoja „wszelkiego zdrowego ustroju" przeszła przez wiele takich wstrząśnień, od których się nie umiała zabezpieczyć, że każde państwo powinno się gruntownie zastanowić, czy warto korzystać z usług lekarza, który sam potrzebuje leczenia i to gruntownego. Napoleon I odebrał papieżowi wszystko, co mu — jak ironizował — dał w lenno jasny poprzednik, Karol Wielki. Kardynał Pacca wpadł do papieża z okrzykiem „Consummatum est!" (dokonało się). Zestawioną już klątwę papież podpisał i rzucił gromy na Korsykanina. Ale ledwo by spalić na stosie połowę świata, a to przechodzi siły do kościołów rzymskich, generał francuski wsadził papieża do dyliżansu pocztowego i wywiózł go z Rzymu, podczas gdy społeczeństwo rzymskie bawiło się na balu wydanym przez generała francuskiego. Ani ręka się nie ruszyła w obronie tej „ostoi wszelkiego zdrowego ustroju".

Trzeba przypomnieć, że względy konkurencyjne i reakcyjne skłoniły właśnie Rosję schizmatycką, Anglję i Prusy protestanckie do odbudowy państwa kościelnego w roku 1815. Ale państwo to trwa już niedługo. Idą nowe czasy, klątwy papieskie nikogo nie przestraszają, a tem samem siła jedyna, siła strachu, znika. Przychodzi rok rewolucji 1848, Rzymianie proklamują republikę demokratyczną i papież Pius IX musi z Rzymu uciekać przed własnymi poddanymi i, oczywiście, przed katolikami. I nie potęga wpływu duchowego wprowadza go z powrotem do Rzymu, lecz potęga zgoła nieduchowna bagnetów francuskich i austrjackich. Adam Mickiewicz w „Trybunie Ludów" wskazał na zadziwiający fakt, że cały świat katolicki pozostał całkiem obojętny na despekt, jaki spotkał papieża. Kilkakrotnie o mury Rzymu papieskiego, strzeżonego przez wojsko Napoleona III, rozbijały się fale entuzjazmu narodowego młodych jednoczących się Włoch. Państwo kościelne istniało nie dzięki wpływom duchownym, ale dzięki konjunkturze politycznej.

Przyszedł wreszcie rok 1870. Dnia 18 lipca papież ogłosił dogmat o swej nieomylności, a niebawem upadł Rzym papieski. Uroczystość ogłoszenia dogmatu papieskiej nieomylności miała być osobliwie wystawna i wspaniała. Tron ustawiono tak, że w chwili odczytywania nowego dogmatu, miał nań paść snop promieni słonecznych i pogrążyć go w złocistej aureoli, ale jedna z gwałtownych, nieobliczalnych burz rzymskich popsuła efekt obliczeń. W kościele zapanował mrok, a słowa papieża głuszył łoskot gromów i szum ulewy. Nazajutrz zaczęła się wojna niemiecko-francuska: papież pobłogosławił oręż opiekuńczy Francuzów, a 20 września po ustąpieniu załogi francuskiej z Rzymu, państwo papieskie zostało zajęte przez wojska włoskie. Plebiscyt, który miał rozstrzygnąć sprawę przynależności Rzymu, dał jakby na złośliwą ironję 1507 głosów za papieżem i 153,681 za zjednoczeniem z Włochami.

Zapewne, że perypetje dziejów politycznych mogą nie przesądzać sprawy ostoi porządku i ładu, ostoi duchowej. Ale na to trzeba odpowiedzieć, że Rzym nigdy nie opierał się na wpływach duchowych, ale rządził światem czysto mechanicznie. Dopóki miał posłuch moralny u ludów, używał tego posłuchu dla mechanicznego tępienia swoich przeciwników i tem się tylko różnił od innych władz, że gnębił tych przeciwników środkami niesłychanie okrutnemi i brutalnie pierwotnemi, torturując i paląc żywcem. Niestety, złagodzenie obyczajów nie wyszło z Kościoła i nie zostało wysnute z nauk ewangelicznych, ale przyszło z Odrodzeniem ze świata pogańskiego. Dzieła znakomitych uczonych odsłaniają nam nietylko ciemnotę, ale i niskość obyczajową duchowieństwa średniowiecznego, to jest duchowieństwa tych czasów, w których Kościół panował nad światem niepodzielnie.

Oto co można powiedzieć o rzekomej „ostoi wszelkiego zdrowego ustroju". Zawsze opierała się ta ostoja o siłę materjalną państw świeckich, a dzisiaj, ilekroć powstaje próba opanowania jakiego narodu na nowo, ani śladu niema wywierania wpływu duchowego, ale jest zawsze próba zjednania sobie „ramienia świeckiego", które dla Rzymu dobywałoby kasztany z ognia. Że się takie ramię czasem spali, to głupstwo. Narody i państwa mijają, a msza się odprawia. Bardzo często jest to msza żałobna za umarłe sumienia, za myśli na wieki pogrzebane, jak powiedział Brzozowski.

Polska coraz wyraźniej staje na rozdrożu i będzie mu-

siała zdecydować się, czy iść naprzód w jasne i piękne jutro, które sama sobie będzie musiała stworzyć, czy też cofać się gwałtownie wstecz aż do czasów saskich ze wszystkiemi fatalnemi tych brzydkich czasów skutkami. Dokąd może ją poprowadzić Rzym, to wiedzą wszyscy. Będą uroczyste nabożeństwa, pielgrzymki, koronacje obrazów cudownych, będą się działy cuda nad Wisłą i nad innemi rzekami, a Europa będzie się dziwowała, a jednocześnie będzie świat stwarzał nowe warunki istnienia narodów przez usilną pracę ducha i mięśni. Będzie świat szukał prawdy i piękna, a Rzym będzie wyklinał i poszukiwaczy i to, co znajdą. Bo katolicyzm to wiekuista stagnacja. Mniema on, że posiada wszystkie najwyższe prawdy i że już nie trzeba szukać niczego i do niczego dążyć. Jeśli zapanuje jeszcze raz nad jaką częścią świata, to wytępi w niej myśl twórczą i ich przedstawicieli, namnoży Baków i Chmielowskich, aby usty ich wyklinać wszystko, co pragnie światła, prawdy i dobra. „Wyklęty, który powie, że papież rzymski może i powinien pojednać się z liberalizmem, cywilizacją i oświeceniem współczesnem"!

W całym syllabusie Piusa IX jest to jedyna klątwa nieszkodliwa, bo tego, za co tu papież wyklina, nikt nie powie. Rzym jest stagnacją i ze współczesnością nie ma i nie może mieć nic wspólnego. Dopiero gdy ta współczesność stanie się przeszłością, za jakie lat sto czy dwieście, stanie sam na jej gruncie i będzie wyklinał tę współczesność, która dopiero przyjdzie. Tak było zawsze, tak jest i będzie. Trzeba to Polsce bezustannie powtarzać i ostrzegać ją słowy wielkiego poety:

„Twa zguba w Rzymie!" **P. Hulka-Laskowski.**

Podróże ks. Biskupa Burschego.

Czas od powrotu z odpoczynku letniego aż do chwili obecnej był dla naszego arcypasterza nader pracowitym, nawet uciążliwym. Poza wszelkiemi sprawami urzędu swego tu na miejscu odbył cały szereg podróży, zwiedzając rozmaite parafje i filjały, gdzie obecność jego była konieczną albo przynajmniej wielce pożądaną. — Dnia 10 października odbyła się w Chełmie instalacja ks. Serwacego Fröhlicha, przy której to uroczystości asystował najbliższy sąsiad, ks. Rutkowski z Cycowa. — Również instalacja nowoobranego ks. W. Borkenhagena odbyła się dnia 17 października w Suwałkach, w asystencji dawnego proboszcza, ks. Loppego z Wilna, i ks. Winklera z Węgrowa,

Z Suwałk udał się ks. biskup do Wiżajn, parafji administrowanej przez suwalskiego proboszcza od czasu wybuchu wojny. Tu odbyła się d. 18 i 19 października wizytacja oraz Ogólne Zebranie parafjan, którzy postanowili powołać własnego duszpasterza i zadecydowali odpowiednie uposażenie. Wkrótce parafja ta będzie ogłoszona za wakującą, po doprowadzeniu do porządku zabudowań parafjalnych. Dnia 24 października ks. biskup konsekrował kościół w Kostopolu, która to uroczystość była już w Głosie opisana. Również wzmianka była w Głosie o ordynacji ks. ks. Badkego, Hammermeistera i Frejdego, która się odbyła w kościele warszawskim w święto rformacji, t. j. dnia 31 października.

Tegoż dnia po południu ks. biskup wyruszył do Bydgoszczy, gdzie nazajutrz w asystencji ks.ks. Manitiusa z Poznania i Krenza z Nieszawy wprowadził w urząd pierwszego wybranego proboszcza polskiego ewangelickiego zboru, ks. W. Galstera.

Następnej niedzieli dnia 7 listopada, odbyła się instalacja ks. J. Lehmanna w Zduńskiej Woli; asystentami byli ks. Superintendent Wende z Kalisza i dawny pasterz zduńskowolski ks. Manitius z Poznania. — Dzień 8 listopada był nader ważnym dla filjału w Łasku. Tu pod przewodnictwem ks. biskupa obradowało Ogólne Zebranie parafjan, które zadecydowało co następuje:

1) Utworzyć samodzielną parafję w Łasku z siedzibą ks. pastora — w tymże mieście; 2) do parafji należeć będą wszystkie miejscowości, które obecnie należą do filjału; 3) celem uzyskania na to środków obowiązują się parafjanie płacić po 1 zł. rocznej składki z morga; ks. pastorowi wyznaczyć 400 zł. miesięcznej pensji, dać bezpłatne mieszkanie, opał i światło oraz opłaty jura stolae. — Obywatelka miejscowa p. Emilja z Nehringów Grassowa zadeklarowała darowiznę dla parafji z domu swego, położonego przy rynku, który będzie niewątpliwie stanowił podwalinę materjalną egzystencji zboru. Dom ten narazie obciążony będzie dożywociem dla zapisodawczyni. — W ten sposób powstała nowa placówka naszego kościoła.

Prosto z Łasku ks. biskup udał się do Wilna na zjazd przedstawicieli wszystkich kościołów ewangelickich, o którego przebiegu czytelnicy Głosu Ew. dobrze są poinformowani ze szczegółowych sprawozdań, umieszczonych w ostatnich numerach.

Dnia 13 i 14 listopada spędził ks. biskup w Paproci Dużej. Jest to niewielka parafja w powiecie Ostrowskim, ziemi łomżyńskiej, która właściwie jeszcze nigdy własnego pastora nie miała. Przed wielu laty mieszkał przez kilka miesięcy na miejscu duszpasterz. Potem już stale administrował Paprocią pastor łomżyński. — Obecnie zebrani parafjanie uchwalili powołać własnego duszpasterza w osobie ks. Proniewicza, dotychczasowego wikarjusza w Cieszynie, przeznaczając mu 250 zł. pensji miesięcznej oraz dochody za czynności. — Ks. Proniewicz wkrótce przenosi się do Paproci.

Dnia 21 listopada znów odbyła się instalacja, a mianowicie ks. Bittnera, który został wprowadzony przez ks. biskupa w urząd pastora parafji Dąbie nad Nerem.

Przez następne 2 dni ks. biskup wizytował parafję Babiak, filjał Izbicę i należący do tegoż kantorat w Pasiece.

Tu od dłuższego czasu istniały nieporozumienia. Pasieka wybudowała własny kościół i chciała koniecznie odłączyć się od Izbicy. Kolegjum Kościelne na to zgodzić się nie chciało. Na Ogólnem Zgromadzeniu pod przewodnictwem ks. biskupa doszło do porozumienia i zgody. — Pasieka odtąd na remont kościoła w Izbicy płacić będzie tylko połowę składki; przy czynnościach religijnych, odbywających się w kościele w Pasiece na rzecz kościoła izbickiego żadne opłaty nie będą pobierane.

Dnia 28 listopada krakowski zbór uroczyście obchodził wprowadzenie w urząd swego duszpasterza ks. Wiktora Niemczyka. W Nr. 50 Głosu Ew, podaliśmy dokładny opis tej uroczystości, możemy się więc tu ograniczyć na tej wzmiance tylko.

Wreszcie dnia 5 grudnia wizytował ks. Biskup parafję Łowicz i przewodniczył na Ogólnem Zebraniu parafjalnem. Zapadły uchwały, żeby za rok 1926 wypłacić ks. pastorowi, kantorowi i zakrystjanowi dodatki do pensji oraz podwyższyć od r. 1927 składkę kościelną o 50%, pozostawiając Kolegjum Kościelnemu podział funduszów etatowych na poszczególne pozycje.

Ugoda Wileńska.

(Dokończenie).

Ostatniego dn. o g. 6 w, odbyła się końcowe nabożeństwo w kościele ewangel. augsburskim wileńskim. Weszliśmy w pięknie przystrojoną świątynię, wypełnioną gośćmi po brzegi. Liturgję odprawił ks. prof, Bursche:

Kazanie pierwsze w języku niemieckim wygłosił ks. sup. D. Voss, Kazanie oparte na tekście z I Kor. 15, w 17 i 18 nastrojone tylko na nutę dziekczynną, głęboko poważną. „Ale Bogu niech będą dzięki, który nam dał zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ale tak bracia moi mili, bądźcie stali, niewzruszeni, zawsze obfitujący w sprawie Pańskiej, wiedząc, że praca nasza nie jest daremna w Panu". Dzień 11 listopada. Radujemy się z tego męża którego wielu nienawidzi, ale wielu też kocha. Słowo Boże i nauka Lutra nie przeminą. Łączymy się

w jedno, prostotą Rada ewangelików w Polsce. Dziękujemy drogim współwyznawcom, którzy dzieło przygotowali. Nazwa waszego miasta pięknie będzie brzmiała. Ale nic bez Boga uczynić nie potrafimy. Soli Deo gloria! Bądź Bogu chwała, On nam dał zwycięstwo. Zawarte jest przymierze braterstwa; niema Żyda, niema Greka. A co nas jednoczy? Hoc est signum unitatis; znakiem jedności jest wiara w ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Zbawiciela. Ale musimy się zespolić także w kajaniu się. Było niejedno, czego dziś nam żal; wszyscy wobec siebie nawzajem zawiniliśmy. Odpuść nam Boże! Odpuśćcie! Zaufanie i wierność niech nam przyświeca. Mamy coś lepszego do czynienia, niż zwalczać się nawzajem. — Bogu dzięki składąmy i do obowiązków się poczuwamy, które On na nas wkłada. Bracia, stójcie niewzruszeni; bądźcie jedno w duchu. Rodzina, zawód, kraj i państwo żądają po nas najlepszego; ale największą rzeczą jest, by Ewangelji drogę torować. Bóg nas umiłował: idźcie do krzyża na Golgocie; uczcie się, co znaczy wiernym być, aż do śmierci. W umiłowaniu wspólnych dóbr i wspólnej historji zachowajcie miłość do siebie nawzajem. Nasze dzieło dzisiejsze to wątła, delikatna roślinka; wymaga najwierniejszej pieczy. Ale jest to przecież dzieło Boże. On je poprze; On jest naszym pokojem, zwycięzcą jest Jezus Chrystus. Sprawa Pańska to jest nasza, praca nie jest daremna, która w wierze, w miłości w Panu jest poczynana. Przyjdą trudności, może rozczarowania; ale na końcu nie może być spór, ale chwała Boża. Czy dożyjemy, to nam nie wiadomo; ale zyskiem będzie, jeżeli to osiągniemy, że coraz więcej serc będzie w sprawę pokoju wciągnięte. Wówczas powiemy: ta praca nie była daremną. Bądźcie stali niewzruszeni! Bóg niech da, byśmy Go twarzą w twarz ujrzeli.

Po tem kazaniu przemówił ks. sup. Semadeni, biorąc za podstawę słowo Mat. 28, w. 20: „I oto, jam jest z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata". Z radością chcę mówić o tem, co Pan nam zgotował. Chrystus Pan sam nam otuchy dodaje słowem pożegnania i powitania zarazem: Oto, jam jest z wami. Słowo Pańskie nas jednoczy, gdy my w tym prastarym grodzie, gdzie Słowo prawdy przed wiekami rozbrzmiewało, jednotę budujemy. Pan sam jest prawdą i musi zwyciężyć. Wszakże i my zjednoczyć się musimy; jako jeden ewangelicyzm. Co dzieli, to jest ludzka mądrość; ludzie są omylni, ich prawdy są zmienne; Słowo i Pan na wieki trwa, On też jednoczy skutecznie. Na konferencji w Genewie poruszono myśl, by w rocznicę rozmowy w Marburgu (1529), zebrali się przedstawiciele kościołów ewangelickich, potomkowie tych, którzy tam się rozeszli, i stworzyli dzieło pojednania. Oby Bóg dał spełnienie tych życzeń i pragnień. My dziś pierwszą cegiełkę do tego dzieła przyłożyliśmy. Wśród warunków i otoczenia, w jakiem żyjemy, w tym kierunku praca nasza winna iść. Szczytna to praca; a w niej wytrwamy — wierzymy, Pan jest z nami, Pan pomoże.

Ks. biskup Bursche odśpiewał końcową liturgję i udzielił błogosławieństwa. Zbór cały pieśń przed kazaniami: „Warownym grodem jest nasz Bóg" i po błogosławieństwie: „Dziękujmy Bogu wraz" śpiewał stojąc. Chór swym śpiewem urozmaicił dziękczynne nabożeństwo.

Uzupełniam jeszcze listę członków Zjazdu nazwiskiem ks. wikarjusza z Białegostoku i kończę może przydługi dla czytelników „Głosu Ewangelickiego" opis Zjazdu, o który mnie Redakcja prosiła. Z uczuciem radości jechaliśmy do Wilna i wracaliśmy z Wilna. Uczestnicy Zjazdu nie zapomną zabiegów koło Zjazdu i aktów gościnności braci Wilnian. — Były wszakże i zastrzeżenia. Praca około zrzeszenia ewangelików w Polsce była przed Zjazdem rozpatrywana w Oddziale „Polska" Wszechświatowego Związku krzewienia pracy przyjaznej pośród narodów, do którego Konsystorz ewang.-reform. Wileński na Zjeździe akces zgłosił. W Wilnie zebrało się 200 przedstawicieli wszystkich kościołów ewangelickich w Polsce z wszystkich jej stron i ze wszystkich obozów. Z nimi przybyły ich nadzieje, ich obawy i troska. Wypowiadali się wszyscy. Ale w tem wypowiadaniu się i zamilczaniu ujawniały się ich przywiązania różnorodne. Stosunek do Chrystusa, stosunek do sprawy zjednoczenia, niemniej stosunek do Państwa Polskiego, tak jak komu przystało, znajdywał swój wyraz. Nie trzeba się pytać, dlaczego w tę ostatnią strunę tak mocno uderzano.

Padły słowa o mocnych, którzy słabszym mieliby stanowić oparcie; padły słowa o wątłej, delikatnej roślince, nad którą czuwać należy. Mówiono o Damaszku przeżywanym przez Francuza na ziemi niemieckiej, pragnąc Damaszku na ziemi polskiej; powiedziano w komisji słowo o odsunięciu ewangelików polskich od kierownictwa. Ileż tam jeszcze obaw nie wypowiedziano! Ot, to wszystko dowody, jak słaba jest ta roślinka.

Wierzymy wszakże, że każdy, który uchwalał i podpisywał przyniesie i przyłoży swą cząstkę najlepszą do dzieła, które moc Boża sprawiła. Posłannictwo ewangelików polskich w świetle Zjazdu nowej nabiera wyrazistości i blasku nowego. Zadanie ich nie powstało przez Zjazd, ani też nie zmniejszy się przez powstanie Rady kościołów. Jeżeli oni są silni, siła ich leży w ich idei. Idea czystej Ewangelji w Polsce była już i da Bóg, dla wielu będzie jeszcze Damaszkiem i będzie oparciem i mocą dla wielu. Rada Kościołów ewangelickich w wolnej Polsce tak jak powstaje na Zjeździe właśnie w Wilnie o polskiem ewangelickiem brzmieniu historycznem, tak też chyba najskuteczniej w świetle tej idei będzie mogła pracować. „Ku chwale Bożej, ku dobru Kościoła i Wolnej Polski", tak pisze orędzie Zjazdu. Radujemy się z tego, co stało się w Wilnie. Niech Bóg zechce czuwać nad Sprawą swoją, nad sprawą swego Kościoła.

K. Michejda.

Wiadomości z kościoła i ze świata.

Z KONSYSTORZA.

— Na skutek raportu Kolegjum kościelnego z dnia 3 b. m. za Nr 108 Konsystorz ogłasza niniejszem urząd pastora parafji ewangelicko-augsburskiej w Nowosolnej za wakujący z terminem do 15 stycznia roku 1927.

Pastor parafji nowosolneńskiej pobierać będzie 600 złotych miesięcznie, dochody za konfirmację i ofiary przy komunji św., prócz tego zaś użytkować będzie trzy morgi ziemi ornej (łącznie z ogrodem).

Kandydaci na powyższy urząd powinni się zgłaszać do Kolegjum kościelnego w Nowosolnej, oraz — za pośrednictwem swego superintendenta — do Konsystorza.

— Mimo to, że już znaczna większość parafji zadeklarowała wpłacanie 10% składki posiłkowej na rzecz Ogólnej Kasy Kościelnej i że odnowiednie pozycje znajdują się w etatach parafjalnych za rok 1925, co się zaś tyczy kończącego się już roku 1926 — to zaledwie kilkanaście parafji poczuło się do obowiązku wykonania zapadłych w tym względzie uchwał parafjalnych.

Tymczasem zaś Ogólna Kasa Kościelna musi zaspakajać codzienne potrzeby szkoły ewangelistów w Zgierzu oraz wypłacać pensje ewangelistom, którzy szkołę tę już ukończyli i pracują w poszczególnych parafjach (obecnie mamy ich 7). Na to wszystko potrzebne są fundusze, a tych funduszów brak z powodu zaniedbania ze strony parafji w nadsyłaniu 10% składek posiłkowych.

Dlatego też Konsystorz zwraca się do Kolegjów kościelnych z ponownem i usilnem wezwaniem do bezzwłocznego przekazywania pod jego adresem kwot, przypadających od poszczególnych parafji na rzecz Ogólnej Kasy Kościelnej za bieżący rok 1926.

Konsystorz zaznacza przytem, że na przekazach, czekach, względnie w raportach, konieczne jest wyraźne wska-

zywanie, za jaki czas przesłana zostaie dana kwota, gdyż praktykowane dotychczas bardzo często pomijanie tego szczegółu nie pozwala na prawidłowe księgowanie wpłówów i ich kontrolę.

Porządek nabożeństw.

Dnia 24 grudnia, 9 rano, nabożeństwo komunijne;

o godz. 3 po poł., nabożeństwo **wigilijne**, w języku niemieckim—ks. Rüger;

o godz. 4½ po poł. w języku polskim—ks. Rüger,

w kościele Garnizonowym na Lotnisku, o godz 3½ po południu nab. **Wigilijne** w języku polskim odprawi ks. senjor Paszko.

Dnia 25 grudnia, w **I Święto Narodzenia Pańskiego:**

o godz. 9½ r. naboż. w języku niemieckim (bez komunji św,) — ks. Loth;

o godz. 11½ r. nab. w jęz. polskim (bez komunji) — ks. Michelis.

w kościele Garnizonowym na Lotnisku, o godz. 10 r., nabożeństwo w języku polskim odprawi—ks. senjor Paszko.

Dnia 26 grudnia, **II Święto Narodzenia Pańskiego:**

o godz. 11½ rano, naboż. w języku polskim — ks. Rüger.

w kościele Garnizonowym na Lotnisku, o godz. 10 rano w języku niemieckim, odprawi—ks. senjor Paszko.

Dnia 31 grudnia, **Wieczór Sylwestrowy**, o godz. 5 po poł. nabożeństwo w jęz. niemieckim—ks, Michelis;

o godz. 6½ po poł. nabożeństwo w języku polskim — ks. Loth.

Dnia 1 stycznia, **Nowy Rok:**

o godz. 10½ rano, nabożeństwo w języku niemieckim — ks. Michelis;

o godz. 11½ rano, nabożeństwo w języku polskim — ks. Loth.

Wiadomości statystyczne urzędu parafjalnego.

13 — 19 grudnia r. b.

Ochrzczono: 3 chłopców.

Zmarli: Adolf Ziekert, robotnik, lat 72; Ida Marja Seeger z d. Mentzel, wdowa, lat 74; Halina Habich, z domu Hegner, żona obywatela m. Warszawy, lat 75; Andrzej Hefert, garbarz, lat 63; Sławomir Gustaw Koch, syn urzędn. 6 mies.; Adela Bartel z domu Guze, żona ślusarza, lat 29.

OFIARY.

Na gwiazkę dla sierot: J. Schoenbrenner 15 zł.; Zygmunt Beigert 20 zł.; Karol Wendt 15 zł.; Ryszardowa Ziegler 50 zł.; R. K, 1 zł,

Na gwiazdkę dla staców: Zygmunt Beigert 20 zł.; Karol Wendt 15 zł.;

Na gwiazkę dla żołnierza: R. K. 1 zł,

Na gwiazdkę dla najbiedniejszych: Karol Wendt 10 zł.

Dla pogorzelców ewang. w osadzie Podrzecze: J. Sauter od parafjan kantoratu w Pruszkowie 15 zł. 60 gr.

Do dysp. ks. Lotha: Dla uczczenia śp, Karola Michlera składa siostra i siostrzenica 10 zł.; dla uczczenia pamięci przedwcześnie zmarłego śp. Wacława Michlera — Dziunia i Irusia 10 zł.

Na gwiazdkę dla djakonatu: Teodor Eberlein i Stefan Loth za pielęgnację podczas choroby śp. Matyldy Anders zł. 100.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji—Kancelarja Zboru u WP. W. KĘDZIERSKIEGO, codziennie od 9—2 i 3—5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor A. LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano, telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 4 m. 3.

Redaktor: Ks. A. LOTH. Wydawca: an Ewg. Sp. Wyd. „Logos"

Adres drukarni: „Współczesna", Szpitalna 10. Telefon 193-95